Rok 1935. 12 maja. Nr. 20.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
Pod redakcją Eli Oleskiej.

Nasi najmilsi towarzysze.

II.

Dużo kłopotu sprawia ptakom zakładanie „domu", a więc wybór miejsca i budowa gniazd. Jedne wolą te domy robić sobie same, inne lubują się w dziuplach drzew starych, których, niestety, jest u nas coraz mniej. Dla bezpieczeństwa muszą umieszczać gniazda wśród gęstych liści, to też bardzo dogodne dla ptaków bywają drzewa, których korony utrzymane są w kształcie kulistym, chętnie także gnieżdżą



Gniazdo trzciniaka.



Gniazdo krawca.

się ptaki wśród żywopłotów z głogu, grabu i leszczyny.

W miarę zmniejszania się u nas lasów, ptaki z konieczności, gdy im zabrakło drzew i dziupli, przenoszą się do innych krajów, bardziej zalesionych. Grozi to nam wielkiem niebezpieczeństwem ze strony szkodliwych owadów, któremi żywi się wiele ptaków, niszcząc je w olbrzymich ilościach. Bardzo zatem pożyteczna rzecz wchodzi u nas w zwyczaj (do czego i my gorąco zachęcamy naszych mło-

dych Czytelników), mianowicie umieszczanie na drzewach sztucznych gniazd ptasich w postaci odpowiednich skrzyneczek. Wiele ptaków, jak sojki, kraski, dudki, dzięcioły i inne, korzysta z tych domków drewnianych, które z pewnością stanowią dla nich bezpieczniejsze schronienie, niż gniazda naturalne. Są jednak inne ptaszki, które mieszkać mogą tylko w gniazdach przez siebie uwitych. Do najlepszych budowniczych pod tym względem należą: szczygieł, czyżyk, pliszka. Należy tu również gajówka, zwana krawcem z tego powodu, że gniazdo swoje umieszcza między dwoma liśćmi, zszytemi włóknem zapomocą dzióba.

Prześliczne gniazdka wiją sobie trzciniaki, ptaszki żyjące nad wodą wśród sitowia. Przy tej pracy wykazują niektóre ptaki wielką inteligencję, dbałość i troskę, pamiętając o tem, że mają to być domy rodzinne dla ich najdroższych piskląt, którym poświęcą wszystkie swe siły i starania.

O pięknej Formozie i jej polskim królu.

Do najstraszniejszych katastrof, jakie od czasu do czasu nawiedzają świat, należą trzęsienia ziemi. Zwykle przyczyną ich są wybuchy wulkanów czyli gór ogniowych, w każdym zaś razie najczęściej trzęsieniom ziemi podlegają okolice wulkaniczne. Wulkany znajdują się we wszystkich częściach świata, tak w Europie, jak w Azji, w Ameryce i Australji, najmniej słyszy się o nich w Afryce. Cała Japonja, która, jak wiadomo, składa się przeważnie z wysp wulkanicznych, bywa stale nawiedzana trzęsieniami ziemi, zostawiającemi po sobie potworne spustoszenia.

Właśnie świeżo, w okresie świątecznym, zniszczyło trzęsienie ziemi piękną wyspę Formozę, należącą wprawdzie do Japonji, ale położoną blisko wybrzeży Chin i licznie też przez Chińczyków zamieszkiwaną. Ludzi, którzy w tem nieszczęściu utracili życie, liczą na przeszło trzy tysiące, a w tem setki kobiet i dzieci. Mnóstwo też nagle pozostało sierotami, utraciwszy rodziców, zwłaszcza ojców, którzy jako górnicy zginęli wśród pracy w kopalniach złota, srebra i miedzi. Jednocześnie z trzęsieniem ziemi wylały rzeki i wybuchły pożary, zwłaszcza w licznych lasach „pięknej wyspy“, która tę nazwę otrzymała już przed wiekami od oczarowanych jej pięknością podróżników hiszpańskich.

Chociaż Formoza jest dla nas obcą zupełnie krainą, to przecież łączy z nią Polaków dawne wspomnienie. Na tę bowiem wyspę przed przeszło pół wiekiem zagnały losy młodego szlachcica polskiego, Maurycego Beniowskiego. Był to konfederat barski, który po klęsce Polski z Moskalami, został przez nich uwięziony i zesłany na krańce państwa carów rosyjskich, do Kamczatki. Uciekł jednak stamtąd, owładnął jednym z okrętów i na czele gromadki podobnych do siebie więźniów, puścił się na ocean w daleki świat nieznany. Po rozlicznych przygodach, walkach i niebezpieczeństwach dotarł wkońcu młody bohater właśnie na tę wyspę Formozę.

Zastał tu Beniowski półdzikie plemiona, które ujął sobie podarunkami ze świecidełek, tak, że go przyjęły niby jakiego boga. Gdy się dowiedział o przybyciu „białego człowieka“ władca jednej z prowincyj Formozy, powitał go z wielką czcią, wystąpiwszy wspaniale ze swoim dworem, strażą przyboczną i wojownikami. Jedni z nich na koniach, przybrani w bogate, barwne szaty, trzymali wzorzyste sztandary, inni, zupełnie prawie nadzy, o skórze lśniącej, jakby z bronzu, nieśli w rękach długie dzidy; za nimi szli łucznicy, poczem dalsze oddziały, zbrojne w maczugi i toopry. Dopiero za tymi zjawiła

się postać samego monarchy w żółtej sukni, w otoczeniu najwyższych wojskowych i urzędników, przybranych w kosztowne stroje. Po uczcie powitalnej Beniowski urządził na cześć króla wspaniałe widowisko. Huknęły jak grom ze statku trzy działa ogromne, poczem wśród ciemności sypnął iskrami młyn ognisty. Były to oczywiście ognie sztuczne, których brunatni mieszkańcy Formozy nie znali, podobnie jak i armat strzelających.

Król zachwycony pragnął zatrzymać u siebie na zawsze tak potężnego czarownika i bohatera, obsypał go wszelkiemi obietnicami, podarował na wieczne czasy część swych ziem, nawet chciał mu zapewnić następstwo tronu po sobie, czemu jednak Beniowski odmówił. Skończyło się na tem, że Polak udzielił królowi pomocy w wojnie z sąsiednim władcą, jednym atakiem zajął jego stolicę, a samego wziął do niewoli, z której później wspaniałomyślnie go wypuścił. Nie zgodził się też Beniowski na udział w rabunku zdobytego miasta, czem tak zadziwił i oczarował pogańskich wyspiarzy, iż mu przypisywali cześć niemal boską.

Chociaż mógł Beniowski osiąść spokojnie w tej czarownej krainie i żyć wśród jej niezmierzonych bogactw jako pan i władca, opuścił ją rychło, zamierzając później dopiero uczynić z Formozy kolonję europejską. Odjechał tedy, żegnany przez wielotysięczną ludność i obdarowany przez króla Huapa srebrem, złotem i drogiemi kamieniami. Jako przyszły monarcha, wyuczył się nawet języka tamtejszych plemion i poznał dokładnie obyczaje i stosunki gospodarcze Formozy. Nie wrócił jednak już nigdy na piękną wyspę i zginął wśród nowych walk — na ziemi Afrykańskiej.

Pamięć o nim jako o „królu Beniowskim" żyje dotychczas w licznych legendach Formozy. W literaturze polskiej wielki o nim poemat p.t. „Beniowski" pozostawił Juljusz Słowacki, a pisali też o jego przygodach i powieściopisarze; między innymi żyjący jeszcze w Warszawie, Wacław Sieroszewski, który również szereg lat spędził jako zesłaniec na Syberji i wśród dzikich ludów Azji, a dziś w wolnej Ojczyźnie jest prezesem Polskiej Akademji Literatury.

Wierny Hasciko.

W tych dniach zakończył życie sławny na całą Japonję pies imieniem Hasciko, nazwany „psem narodowym Japonji", gdyż nie było w całym kraju zakątka, gdzieby o nim nie wiedziano. Na tę nadzwyczajną sławę zasłużył sobie Hasciko bezprzykładnem przywiązaniem do swego pana, którym był doktor Ueno. Jako lekarz wyjeżdżał on codziennie do pobliskiego miasta, gdzie pracował w szpitalu. Pies towarzyszył mu rano w drodze od domu, aż do dworca kolejowego, a wieczorem punktualnie o jednej i tejsamej godzinie zjawiał się znowu na stacji w oczekiwaniu powrotu swojego pana, z którym potem szedł wesoło do domu. Trwało to długie lata, aż wreszcie doktor umarł. Stało się to przed dziewięciu laty.

Od tego czasu poczciwy Hasciko codzień o tejże samej godzinie udawał się na dworzec, by tam wyczekiwać swego pana, który — niestety — nigdy już nie wracał. Wiadomość o tem rozeszła się po całym kraju, wszędzie mówiono i pisano o wiernym Hasciko, filmy wyświetlały jego podobiznę. Stał się postacią legendową, przykładem, symbolem psiej wierności i przywiązania. Wystawiono mu nawet, jako nagrodę za jego psią miłość i szlachetność, mały pomnik w tem miejscu przed dworcem, gdzie codziennie wyczekiwał cierpliwie przybycia swego pana. Oczywiście, że o tem uczczeniu jego zasług nawet sobie sprawy nie zdawał skromny Hasciko.

Aż w końcu śmierć przerwała codzienną jego pielgrzymkę daremną. Gdy zachorował na serce, pięciu weterynarzy starało się jeszcze go uratować, lecz biedny stary pies zakończył życie. Pochowano go w małej skrzynce, w ogródku rodzinnym, tuż obok grobowca jego pana w obecności tysięcy tłumów, które przybyły z całego kraju na tę niezwykłą uroczystość. Oprócz tego, wdowa po doktorze otrzymała niezliczoną ilość depesz z wyrazami współczucia, oraz mnóstwo kwiatów dla wiernego przyjaciela.

Chociaż są to dla nas zwyczaje obce, jednak należy nam je uszanować tembardziej, że Japończycy nie są chrześcijanami, a dają nam przykład pięknego, ludzkiego stosunku do zwierząt. U nas tymczasem, niestety, jakże często psom dzieje się najstraszniejsza krzywda, mimo, że są one najlepszymi, i najwierniejszymi przyjaciółmi człowieka.

Tajemnica wyspy kauczukowej.

(Ciąg dalszy).

— Jakto, proszę pana, i ta oprawa szkieł w okularach, to także ma być z kauczuku?

-- Ani sobie nie zdajesz sprawy, mój chłopcze, ile przedmiotów prawie codziennego użytku, z któremi spotykasz się na każdym kroku, wyrabia się właśnie z tej masy, której pierwsze początki możesz widzieć w naszych plantacjach.

— Dowiesz się, Willu, wkrótce o tem wszystkiem, abyś miał choćby w przybliżeniu pewne wyobrażenie, jak powstają rozmaite przyrządy robione z kauczuku, z któremi musisz się w życiu często spotykać.

Chłopak nic już na to nie odpowiedział, ale przypatrując się dalej robotom w plantacjach, rozmyślał poważnie nad tem, jakim sposobem oprawa binokli pana Edwarda, które przecież nieraz brał do ręki, może być zrobiona z tego samego materjału, co naprzykład piłka do zabawy.

— Rozumiem — mówił sam do siebie — że z tego kauczuku, jaki tutaj widzę, można zrobić piłkę, poznaję bowiem tu i tam podobne własności. Ale gdzież się podziała choćby tylko rozciągliwość tej masy kauczukowej w twardej oprawie szkieł na nosie pana Edwarda? Nie, to mi się nie może pomieścić w głowie.

Na obiedzie pan Willington z synem i nauczycielem byli dziś w domu pana Brylsa, gdzie znalazł się również i pan Mersen. Do niego zatem zwrócił się chłopiec, gdy wstawano od stołu, z zapytaniem, czy i jego binokle są zrobione z kauczuku.

— Nie, mój Willu — odparł mu pan Mersen — moje binokle są ze szkła, jak widzisz.

— Ale ja, proszę pana, pytam o ich oprawę.

— Wprawdzie, mój mały przyjacielu, masz zupełną słuszność, że właściciel plantacyj kauczuku nie powinien nosić binokli nie w kauczukowej oprawie, ale ja, mimo to, mam na oczach szkiełka, wprawione w ramki z szyldkretu.

— A szyldkret? — rzekł Will — to pewnie z kauczuku?

— Nie rób mi, synu wstydu — wołał ojciec, śmiejąc się z nieświadomości swego jedynaka.

C. d. n.

Rozwiązanie szarady z nru 18: O. Czy. Oczy.